Tadeusz Biliński.

...A na ziemi pokój...

Kraków, 24 grudnia.

...Dopiero na ulicy uprzytomnił sobie Korwicz, że to przecież dzisiaj wieczór... wigilijny. Szedł, potrącany wciąż przez tłumy niecierpliwych przechodniów, z których każdy, objuczony pakunkami, spieszył do domu, gdzie czekała go tradycyjna wilja.

Wszędzie było znać gorączkowy pośpiech.

W sklepach z galanterją, cukierniach, masarniach i halach ryb czyniono ostatnie zakupy, aby zdążyć na czas do domu... zanim „pierwsza gwiazda" zabłyśnie.

Ze sykiem przelatywały we wszystkich kierunkach samochody, płosząc na rozstajach ulic niecierpliwych przechodniów.

W pewnej chwili musnęło coś w przechodzie po twarzy Korwicza i żywiczne tchnienie lasu owionęło go ożywczą falą.

„Choinka" — uświadomił sobie i na krótki ułamek chwili odżyło bardzo odległe wspomnienie beztroskliwego dzieciństwa: „Tajemnicze twarze rodziców... niecierpliwość trwożnego oczekiwania... a potem ostry dźwięk dzwonka... szerokie rozwarcie zamkniętych przez dzień cały drzwi i... pośród pokoju jarzący się tysiącem świateł, olśniewający i dech zapierający cud „Bożego drzewka".

— A to dopiero ze mnie sentymentalna pała! — gromił się Korwicz, „strojąc" usta w zjadliwy grymas ironji — mam też o czem myśleć, jak o... wilji i drzewku. Trudno, bracie — przedkładał sobie rozważnie a stonowczo — nie będziesz nigdzie na wilji... trzeba to sobie wyperswadować, słodki gościu i nie mieć do nikogo pretensji, bo jeszcze niema z tego powodu nieszczęścia.

...Byłby już chyba czas najwyższy, aby raz z takich burżujskich, głupawych wyróść tradycyj... Dziś tak samo dobry dzień, jak każdy inny w tygodniu i w roku, więc skąd nagle to jakieś nieuzasadnione wymaganie, aby ci przyniósł coś innego, „wyjątkowego", a nie codzienną „bryndzę" i samotność!...

...A może zachciewa ci się „gwiazdki"?... A może tak „szczupaka po żydowsku" albo barszczu „z uszkami" i „pasztecików z grzybkami"... Proszę tylko dysponować łaskawie... „Stoliczku, stoliczku nakryj się" i już gotowe.

— Panie, panie! a gdzie ma pan oczy? — huknęło mu nagle nad uchem i o ramię uderzył go kosz, wydając charakterystyczny brzęk potrącanych o siebie flaszek. — Ślepy pan, czy co? — irytował się jakiś chłopak, niosąc na głowie kosz ze smakowitemi likworami.

— Przepraszam...

— Przepraszaj pan sobie swoją babkę — padło w odpowiedzi i chłopak, klnąc pod nosem, poszedł dalej.

— Psiakrew! — myślał Korwicz z zawiścią — gdzieś tam będzie niezgorsza popijawa... ale nota bene... beze mnie... będą toastowali i wiwatowali, a kiedy już „maćki" wypchają i pały zaleją... hajże śpiewać: „Hej kolenda, kolenda i Gloria in excelsis".

Na ulicach ruch słabł widocznie. Coraz rzadziej przemykały się auta ze spóźnionymi gośćmi wigilijnymi, bo i szoferom spieszno było na wigilję do domu. Ożywione doniedawna ulice migiem pustoszały, z suchym grzechotem spadały żaluzje sklepów, a okna wystawowe, nęcące jaskrawością reklam świetlnych i napisami: „Na gwiazdkę ceny niższe od fabrycznych", gasły jedne po drugich, a na ulice wypełzał mrok i cisza.

Korwicz znalazł się na Placu Targowym, gdzie kończono ładować na wozy niedobitki choinek i zgarniano odłamane gałęzie i rozsiane gęsto w śniegu szpilki jodłowe.

— Może „radca" kupi sobie choinkę?... Oddam bardzo tanio... za pół złocisza, taki „klawy" chojarek!... — zachęcał Korwicza „drzewkorz".

— A mnie to poco?! dla kogo?... — burknął Korwicz — chyba... że wezmę tamto maleńkie... a ile za nie?

— Daj pan 20 groszy...

Korwicz nie wiedział nawet, jak się to stało, że pozwolił sobie „wtrynić" choinkę, ale wziął ją ostrożnie pod ramię i powłesał się dalej...

„Sam wśród ludzi"... „pies bezdomny", „niepotrzebny człowiek"... — dobierał w myśli coraz mocniejszych powiedzeń, któreby najdosadniej określiły jego obecną sytuację. Będąc dopiero od kilku miesięcy w tem obcem dla siebie mieście, nie porobił żadnych trwalszych znajomości i nie miał nikogo, ktoby zechciał go zaprosić na wilję, a zresztą jak tu się „wpraszać", kiedyto takie święto rodzinne ze specyficznem „ciepełkiem" familijnem!

Na wyjazd do jakichś tam dalekich krewnych stać go nie było, a zresztą poco? — Zato zeszłoroczną wilję obchodził inaczej. Zeszłego roku spędził jeszcze wieczór wigilijny przy boku swej „najdroższej"(!) żoneczki, przy ognisku rodzinnem — ale żona... psiakrew... odleciała, a... ognisko wygasło...

— Niech ją tam... nie chcę jej przeklinać, widocznie tak być miało, skoro się tak stało...

Korwicz postanowił wstąpić gdzieś po drodze do jakiejś otwartej jeszcze knajpy, aby oszukać w kiszkach głód i nie myśleć o wilji.

Ale potem odmienił zamiar i postanowił zaopatrzyć się w najniezbędniejsze — z uwagi na okres świąteczny — prowianty i... mimo wszystko... pójść do swej wyziębionej samotni.

W jakiejś grajzlerni kupił śledzia, ser, chleb, ogórek i t. p., a na „rozgrzewkę" flaszkę „wyborowej" i buteleczkę „owocowego" sikonia. Z drzewkiem pod pachą i z wiktuałami w kieszeni — powędrował wolnym krokiem do domu.

Szedł pustemi już zupełnie ulicami i poglądał ku oknom, poprzez które dojrzeć można było jarzące się „Boże drzewka" i dochodziła przytłumiona melodja kolendy.

Gdzieniegdzie przez okna parterowe i w suterynach widział zebranych przy nakrytym odświętnie stole, jak z powagą i namaszczeniem pożywali wigilijne dania, zakrapiając je „trunkowością".

W jednem z okien zobaczył nagle młodą matkę z dzieckiem na ręku. Z rozjaśnioną z zachwytu buzią śmiało się do skromnego drzewka i wyciągało chciwie pulchne rączęta -kluski do gorejących świeczek. Stał chwilę i czuł, że go dziwnie mdli, a serce skurcza się boleśnie.

— Co?... może mam jeszcze uronić obowiązkową „łezkę wzruszenia"?... Niedoczekanie!... Jeszczeby tego brakowało, abym się roztkliwiał, jak stara histeryczka... Jazda dalej!... Przyspieszył kroku, aby uciec jaknajprędzej od niebezpiecznego okna i — dla dodania sobie ducha — gwizdał na całą opustoszałą ulicę.

Już był niedaleko od swego mieszkania, kiedy we wnęku sąsiedniej kamienicy zauważył skurczoną postać kobiecą.

— No jeszcze nie jest tak źle — pomyślał ze satysfakcją — ktoś jest, co podobnie jak ja nie „wigilji" się dzisiaj.

— Cóż to... panienka nie na wilji?

W odpowiedzi uderzyły w niego tępe w swym smutku — oczy dziewczyny:

— Nie... nie mam gdzie i z kim...

— A to się doskonale składa, bo i ja tak samo obijam się jak ten pies kulawy w tę „wigilijną noc"... no... to może pani pozwoli ze mną... na wigilję... do mnie?

— Żartuje pan...

— Ależ bynajmniej... Tylko proszę nie spodziewać się żadnych frykasów... „Czem chata, t. j. raczej robotnicza kieszeń... bogata, tem rada".

Początkowa nieufność ustąpiła i Korwicz zaprowadził swą przygodną towarzyszkę wilji do swego mieszkania.

Korwicz odkręcił światło i oczy dziewczyny ogarnęły jednem spojrzeniem aż nazbyt skromny pokój z nędznem umeblowaniem.

— Proszę się nie zrażać — odezwał się swobodnie — wilja zaraz będzie... to kwestja kilkunastu minut... A może pani zajmie się przygotowaniem odświętnego stołu... Oto mój... ale proszę się nie śmiać... „obrus", a to moja... zastawa stołowa: cztery talerze, nadszczerbiony nieskromnie półmisek, komplet noży i widelców w ogólnej sumie pięciu, sól, pieprz... a oto moja kuchnia — wskazał z dumą na pogięty prymus. Niezależnie od tego zaraz zrobimy „ciepło", bo o ile mogę zauważyć, coś nie coś wychłudło... prawda?...

— Ja nie czuję....

— Pani jest nazbyt łaskawa... A co się tyczy wigilijnych dań, to jeszcze w... kieszeni... ale oto już są!... Proszę, niech je pani umiejętnie ułoży... bo przedewszystkiem... estetyka... A ja... zapalę w mym piecu... hutniczym.

...Korwicz wygrzebał z wiadra resztę węgla, nałamał szczap i dość sprawnie rozniecił ogień. Tymczasem dziewczyna, dotychczas onieśmielona, zrzuciła żakiet i zabrała się do nakrywania stołu. Poruszała się szybko i widać było, że coraz pewniej wchodzi w swą rolę przygodnej gospodyni. Za chwilę sprawione i ułożone leżały obok siebie śledzie, ser i ogórki. Korwicz otworzył obie flaszki.

— Halo — najważniejsza rzecz, o czem zapomnieliśmy... drzewko... drzewko musi bezwarunkowo być... Tylko... podrapał się w głowę... co zawiesimy na nim? Ale... głupstwo mniejsza z tym, grunt, że jest i... tradycja uratowana!

Wyszukał wazonik, w którym usychało jakieś zielsko, wyrwał je i na jego miejsce wetknął choinkę. Z triumfem postawił je na stole...

— Klasa... co? — wyszczerzył z zadowoleniem zęby do dziewczyny... A chociaż nie ma na niem żadnych cudowności, to będzie nam przynajmniej lasem pachniało... No... a teraz siadajmy do stołu... panno... jak to tam panią na chrzcie zamianowali?

— Jadźka....

— A zatem panno Jadziu... proszę bliżej... Ale... ale... przepraszam... najpierw życzenia... Psiakość... zapomniałem o opłatku... to nic... a od czego chleb... przełamiemy się chlebem...

Wziął kromkę chleba, złamał na dwoje i jedną część podał Jadźce.

— Hm... dobrze.... tylko czego to mamy sobie życzyć nawzajem!... Acha... życzę Pani zdrowia... tak... to najważniejsze... a potem t. zw. „szczęścia"... niezależności od trosk codziennych i... ciepła własnego ogniska rodzinnego...

Jadźka schyliła głowę i nieznacznie rękawem otarła natrętną łzę...

— No... a pani co mi „pożyczy"?...

— Ja... ja... panu... chyba, aby panu się odmieniło i aby miał to, na co za swe dobre serce zasłużył.

— Brawo... panno Jadźko... a skąd to pani wie, że ja mam... dobre serce? Korwicz pocałował w rękę Jadźkę, która starała się ją wyrwać...

— Ale siadajmy już nareszcie!.... Korwicz nalał kielich „wyborowej" i kropnął go w ręce „współbiesiadniczki". — Na spełnienie naszych życzeń!... A teraz „frygajmy" wszystko po kolei; bo głodnym jak zawodowy głodomór w czterdziestym dniu głodówki, a spragnionym jak gąbka... Było nie było... na rozgrzewkę raz jeszcze... „Eins ist keins". A teraz zagryzać... zagryzać... bo to główna zasada pijackiej higieny... Do trzech razy sztuka... zachęcał Korwicz do picia i jedzenia i naraz odleciał go dokumentnie cały smętek i chandra przedwigilijna, które tak skutecznie dobierały się do niego na ulicy...

— Niech żyje wilja... we dwoje!... Precz z samotnością... wszak człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem i stadowem... Precz z całem wrażem plugactwem życia i jego mizerja... Nie uważa Pani, że życie, mimo wszystko, jest piękne? — mówił z coraz większem ożywieniem, pałaszując „pocztowego śledzia".

— Cała rzecz w tem, aby się nie dać... Jakoś to będzie... Niech więc żyje to nasze, stare, niezrównane „jakoś to będzie"... — wołał coraz to głośniej, napełniając kieliszki jabłeczną „małmazją".

— Grunt, że wilja nas nie ominęła — cieszył się Korwicz jak dziecko. — Zawsze to lepiej we dwoje... co nie?... Panno Jadziu?

— Tak, lepiej...

— Widzi pani — zaczął naraz poważnie. Dziś „Chrystus się rodzi i między nas przychodzi"... tak jest... między nas... wydziedziczonych przez życie, biednych i osamotnionych, a nie tam, gdzie zgiełkliwy rozgwar i obleśnie wykrzywione gęby „faryzeuszy i celników"... I na tem właśnie polega cud tego wigilijnego wieczoru, że nam „pasierbom życia" pokój w serca nasze przynosi. Godzi się więc, abyśmy uczcili Go, Boga maluczkich i biedoych kolendą:

— Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi. Ciemna noc w jasności promienistej brodzi.... Chwała na wysokości, a pokój na ziemi ludziom.

I tak śpiewało tych dwoje rozbitków na wzburzonej fali życia — wsparłszy się ramionami o siebie — i... spokój, jak kojący balsam.... spływał zwolna w ich osamotnione dusze.

„Bóg się rodzi".

Tradycyjny okres świąt Bożego Narodzenia przynosi zawsze z sobą promienne chwile szczęścia i pogody. W okresie tym zakwita jednakowy uśmiech pod dachami pałaców, jak i pod słomianemi strzechami. I mimowoli ludzie poddają się temu uśmiechowi, zapominają o swoich troskach, kłopotach, zmartwieniach dni powszednich, weselą się i radują temi złotemi chwilami, bodaj jedynemi w ciągu roku.

W wieczór wigilijny, wieczór najpiękniejszych tradycyj, wystarczy spojrzeć w okna ludzkich siedzib, aby przekonać się, że w opiewanym czarze świąt Bożego Narodzenia niema nawet cienia przesady. Wystarczy zajrzeć, aby rozrzewnić się głęboko i rozpromienić własne serce radością innych ludzi.

Utarły się powszechnie zdania, że w czasach powojennych znikają powoli starodawne zwyczaje, a szczególnie wszystkie związane z obchodem różnych świąt. Czy zdania te jednak nie są tylko mało znaczącemi frazesami? Bo przecież wystarczy wyjść w okresie przedgwiazdkowym na ulice większych miast, aby przekonać się, że wszystko i wszyscy żyją pod znakiem zbliżających się świąt. Mówią o tem nazbyt wyraźnie wystawy sklepowe, rynek krakowski, zamieniony w czarowny las i liczni przechodnie, obładowani paczkami z prezentami gwiazdkowemi.

Niewątpliwie w czasach przedwojennych nasze babki i prababki podobnie jak dziś, myślały o tem, jakby uczcić to Narodzenie Dzieciątka, obładowane paczkami i pacześkami miały w duszy wielkie święto, na myśl o tem, ile radości i niespodzianek sprawią swoim najbliższym w ten święty Wieczór.

Niewątpliwie w czasach tych ludzie z takiem samem wzruszeniem i szczerym sentymentem obsiadali stoły wigilijne i dzielili się białym opłatkiem, życząc sobie wszystkiego najlepszego.

Zmieniło się więc może życie, zmienili się ludzie, ale tradycja nie zmieniła się. Bo tradycja była i pozostanie zawsze nieśmiertelna.

Zatem w tegoroczny wieczór wigilijny, gdy pierwsza złota gwiazda zabłyśnie w naszych oknach — zasiądźmy wszyscy starym zwyczajem przy wigilijnych stołach, a uśmiech szczęścia niech zakwitnie na naszych twarzach.

Złączmy się w tej Świętej chwili sercami z naszymi braćmi na obczyźnie, z tymi, którzy zdala od nas będą nam bliżsi i drożsi niż kiedykolwiek. A chociaż w niejednem sercu pustka i smutek będzie ogromny, wypełnimy je radością bliźnich, szczęściem najszczęśliwszych.

Niech każdy z nas przeniesie się na tę krótką chwilę do mężów, braci i synów, na obczyźnie, a łamiąc się z nimi opłatkiem, chwalmy Boga na wysokości z gorącą prośbą o „pokój na ziemi ludziom dobrej woli".

(femina).



Kolędnicy z szopką.

Zmiany w gabinecie angielskim.

Lord Halifax ambasadorem w Waszyngtonie. Antony Eden ministrem spraw zagranicznych.

Sztokholm, 24 grudnia. **Od dłuższego czasu, tj. od śmierci brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie lorda Lothiana, krążyły różne pogłoski na temat obsadzenia tego stanowiska, przyczem wymieniano m. in. nazwiskami również Lloyda George'a.** Dopiero obecnie wyjaśniło się to zagadnienie, przyczem komunikat angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych wywołał wielką sensację nietylko w Anglji, ale również w całym świecie.

Według komunikatu Downing Street zostaje dotychczasowy minister spraw zagranicznych lord Halifax następcą Lothiana, jako ambasador w Waszyngtonie, Antony Eden, który dotychczas piastował tekę ministra wojny, zostaje ministrem spraw zagranicznych, a na jego miejsce zostaje ministrem wojny dotychczasowy sekretarz parlamentarny w ministerstwie finansów, członek partji konserwatywnej Margeson. Lord Cranborne podsekretarz stanu w MSZ zostaje następcą lorda Halifaxa, w Izbie lordów, jako speaker Foreign Office i ministerstwa dla dominjów.

Poza temi sensacyjnemi wiadomościami zwraca również uwagę fakt, że **przebudowa gabinetu, w której na pierwszem miejscu miała stać osoba Lloyda George'a, a nie nastąpiła.**

Ustąpienie lorda Halifaxa ze stanowiska ministra spraw zagranicznych przyjęto w różnych kołach polityczno-parlamentarnych z zadowoleniem,

gdyż lord Halifax był ostatnio celem dosyć gwałtownych oskarżeń z różnych stron, a również ze strony konserwatystów.

Londyńskie pisma poranne wyrażają się też z uznaniem o pociągnięciu Churchilla, natomiast należy przypuszczać, że **mianowanie Halifaxa ambasadorem w Waszyngtonie zostanie przywitane w „Labour Party" z pewnego rodzaju zastrzeżeniem, gdyż nie żywi ona w swoim opozycyjnym odłamie zbytniego zaufania do zdolności dyplomatycznych Halifaxa.**

Sfery te przypuszczają, że lord Halifax nie będzie umiał wnieść właściwego tonu w pertraktacjach z rządem Stanów Zjednoczonych. Komentuje się również głęboką religijność lorda Halifaxa, która w obecnej sytuacji wojennej i w sferach waszyngtońskich niekoniecznie będzie na miejscu. Przypomina się, że lord Halifax już swego czasu chciał się wycofać z życia politycznego i przypuszczają, że powierzone stanowisko przyjmuje on bez entuzjazmu.

Jeżeli chodzi o ministra Edena, to uważa się go od początku wojny za człowieka, który trafnie przewidział rozwój wypadków.

Mianowanie jego na ministra spraw zagranicznych każe przewidywać sferom angielskim, że rozwinie on w dyplomacji Anglji żywą działalność i wprowadzi nowy kurs wobec niektórych neutralnych państw.

Mianowanie Margesona uchodzi za silne wzmocnienie wpływu partji konserwatywnej w łonie rządu angielskiego,

jakkolwiek stosunek sił w gabinecie nie został przez nowe mianowania zasadniczo zmieniony, gdyż ani minister spraw zagranicznych ani minister wojny nie są członkami gabinetu wojennego.

Sfery zagraniczne przebywające w Londynie komentują mianowanie lorda Halifaxa ambasadorem w Waszyngtonie w ten sposób „że upatrują **w nim „szeroki gest" Anglji wobec Ameryki, mający podkreślić przez powołanie na stanowisko ambasadora tak wysoko postawione osobistości ważność przypisywaną stanowisku Ameryki.** Zdania tego jest również londyński „Daily Herald", pisząc, że Churchill nie mógł poza sobą samym wysłać wybitniejszej osobistości do Waszyngtonu.

Zarząd przymusowy nieprzyjacielsk. przedsiębiorstw.

Rzym, 24 grudnia. **Ostatnio otrzymało 500 przedsiębiorstw należących do obywateli państw nieprzyjacielskich przymusowy zarząd.** Majątek tych firm wynosi 4 miljardy lirów.

Zawieszenie dziennika bukareszteńskiego.

Bukareszt, 24 grudnia. Ministerstwo spr. wewnętrznych zawiesiło w dniu 18 grudnia dziennik poranny „Timpul" na 5 dni za niewłaściwe odnoszenie się do zagadnień państwowych.

* * *

Sekretarjat generalny ruchu legjonowego zakomunikował ostatnio, że dzienniki „Cuvantul", „Bunavestire" i „Akza" wyznają ideologję legionową i reprezentują ją w prasie.

Kuchnie ludowe w Anglji.

Berno 24 grudnia. Angielski minister aprowizacji lord Woolton zwrócił się ostatnio do zarządów gmin miast prowincjonalnych z żądaniem, aby w najkrótszym czasie stworzyły kuchnie ludowe, gdyż — zdaniem ministra — są one w razie bombardowania miast prowincjonalnych równie ważne jak straże pożarne.

Tylko 25 grudnia świętem!

Rzym, 24 grudnia. Władze angielskie w Gibraltarze postanowiły ostatnio, że dnie 26, 27 grudnia i 1 stycznia nie będą obchodzone jako święta, a jedynie dzień 25 grudnia będzie uważany za dzień świąteczny.

Przed konferencją pięciu państw rzeki La Plata.

Buenos Aires, 24 grudnia. Argentyński minister spraw zagranicznych Roca przyjął ostatnio ambasadorów Brazylji i Stanów Zjednoczonych, jak również zastępcę ambasady boliwijskiej. Rozmowy tych dyplomatów stoją w związku z przyszłą konferencją, która po Nowym Roku ma odbyć się w Rio de Janeiro, a w której wezmą udział reprezentanci pięciu krajów, przez które przepływa rzeka La Plata, a mianowicie Argentyna, Brazylja, Urugwaj, Paragwaj i Boliwja.

W Brazylji zniszczono ponad 70 miljonów worków kawy.

Buenos Aires, 24 grudnia. Europejska wojna jeszcze bardziej zaostrzyła „kawowy kryzys", jaki istnieje w Brazylji już od szeregu lat. **Od lipca do września b. r. a więc w ciągu dwóch miesięcy, zniszczono w Brazylji ponad miljon worków kawy.** Tegoroczny zbiór kawy w Brazylji wypadł niezwykle dobrze. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej nie zgodziły się na zakupno większej ilości kawy, aniżeli same potrzebują, wobec czego zrodziło się w Brazylji przekonanie, że z tegorocznych żniw pozostanie jeszcze 12 miljonów worków kawy, które **trzeba będzie zniszczyć lub w najgorszym razie wykorzystać jako paliwo w przemyśle.** Takie postawienie sprawy jest konieczne, bo w przeciwnym razie doszłoby do niebezpiecznego kryzysu całej brazylijskiej gospodarki. Jak olbrzymich ilości kawy nie mogła Brazylja sprzedać już w ostatnich latach, wynika choćiażby z tego, że **od 1931 roku zniszczono w Brazylji ponad 70 miljonów worków kawy, bo europejskie rynki zbytu coraz to bardziej odpadały.**

Aresztowania w Anglji.

Rzym, 24 grudnia. **Wielką sensację nietylko w Londynie, ale również zagranicą spowodowało aresztowanie przez Scotland Yard 8 osobistości, które w towarzystwie angielskiem grały dużą rolę.**

Wśród aresztowanych, których przesłuchiwał jeden z naczelnych urzędników Scotland Yardu, znajduje się pewien lord, właściciel znanej stajni wyścigowej, jak również kilku wybitnych przemysłowców z okręgu Birmingham. Domyślają się, że osoby te zostały oskarżone o defetyzm.

W ostatnich dniach dokonano w Londynie egzekucji 11 osób, które tworzyły bandę, ochraniającą plądrujących cudze mieszkania po bombardowaniu. Banda ta starała się m. in. uniemożliwić policji ochronę pewnej willi przed kradzieżą.

Żegluga na Dunaju wstrzymana.

Kra płynie coraz większa.

Bukareszt, 24 grudnia. W ostatnich dniach temperatura spadła w okolicach Brailny do minus 14 stopni, skutkiem czego musiano całkowicie wstrzymać żeglugę na Dunaju, a właściciele okrętów odprowadzili je do portów zimowych.

Według doniesień z rozmaitych portów na Dunaju kra płynie coraz gęściej. Jeśli mróz będzie w dalszym ciągu przybierał na sile, wówczas **ujście Dunaju niebawem zamarznie.**

W doku pływającym w Konstancy nagle **pojawiła się olbrzymia gromada ryb morskich**, zwana chefali. Na wiadomość o tem liczni mieszkańcy pospieszyli do portu, łowiąc ryby przy pomocy koszyków i worków, a nawet gołemi rękami. Fenomen pojawienia się ryb w takiej ilości tłumaczy się nagłym spadkiem temperatury wody w Morzu Czarnem, który **zmusza ryby do szukania bardziej zakrytych miejsc.** Wypadek podobnego rodzaju miał miejsce w Konstancy przed sześcioma laty.

Szopka krakowska.

Kraków, 24 grudnia.

Szopka, jeśli chodzi o jej stronę literacką, jest swego rodzaju próbą twórczości dramatycznej ludu, pod względem artystycznym lichą i naiwną, ale posiadającą niewątpliwe znaczenie dla etnografów i zwolenników folkloru, jak również dla szerokich mas ludu, którego wiarę, przywiązanie do tradycji i języka ojców podtrzymują prymitywne sceny jasełek.

Cywilizacja i postęp niesie zagładę tym dawnym zwyczajom tak samo, jak strojom narodowym i różnym zabytkom, o których dziś dowiadujemy się ze starych zapisków, albo muzealnych szaf. Ale jeszcze niewiele lat temu szopka, specjalnie na terenie krakowskim, stanowiła **kunszt artystyczny**, który przez wiele lat wychodził z pod palców zawodowego szopkarza, **Michała Ezenekiera** z Krowodrzy, murarza.

M. Ezenekier co roku jesienią lepił, strugał i ubierał figurki, a w okresie świątecznym chodził po Krakowie z szopką, która była misternem arcydziełem architektonicznem o bogatych kopułach i wieżach, złocistych krużgankach i bogato ustrojonych figurkach. Pląsy drewnianych kukiełek, szlachcica targającego się z żydem, chłopów-rezunów pobudzały do serdecznego śmiechu do łez, a tragedja Heroda, rozkudłany djabeł z widłami i długa, biała śmierć z kosą wzbudzały w widzach składających się przeważnie z dzieci i młodzieży, ogromny przejmujący do głębi strach.

Naiwne, proste teksty jasełek zmieniały się dzięki temu, że były przekazywane drogą **ustnej tradycji** i modyfikowane niejednokrotnie pod wpływem jakichś nowych okoliczności, które wyszukiwał nieznany każdorazowy „kompozytor" tekstu.

Melodje ulegały również zmianom i warjantom zależnie od woli i nastroju szopkarza, **najczęściej opierały się na pieśniach ludowych** jak np. najpopularniejsza z kolęd „W żłobie leży, któż pobieży" zastosowana była niegdyś i dotąd jest śpiewana na nutę poloneza, grywanego na dworach królów polskich w XVII wieku.

Kolędy mają **raczej świecki charakter**, aniżeli religijny, formę skoczną, niemal taneczną, albo poważną, ale prawie nigdy modlitewną. Dominuje w nich naiwna poufałość i lokalny koloryt polski, prostota wiejska i rzewność. Wartość kolęd polega na ich **szczerej, niewykorzystanej formie**, w której żyje cały wiejski i małomiejski świat ze swojemi zwyczajami i stosunkami, uczuciami i naiwnym sposobem wyrażania ich.

Szopka krakowska, wzorowana na architekturze Zamku i gotyckich wieżycach kościoła Marjackiego, odbiega swojem bogactwem od szopek np. Małopolski wschodniej, gdzie kolędnicy nie siłą się na wprowadzenie małego Jezusa do nieznanego im przepychu. Tam, pasterzami są zwyczajni polscy parobcy, a szopka taka sama kryta słomą, mieszcząca we wnętrzu żłób ze sianem, krową i koniem, jak każda stajnia przy naszej wiejskiej zagrodzie.

Jeśli chodzi o efekt zewnętrzny, to bezsprzecznie jest on mniejszy, ale **wiara w zrodzonego Boga prostaków, żyjącego w ubóstwie, narzuca się głębiej**, Jezus jest bliższy, bardziej dotykalny i osiągalny, nie odgrodzony krwawym płaszczem purpury, kapiącym od złota i oślepiającego blasku. Jest to **apoteoza ubóstwa**, podniesienie go do godności i chwały, z jaką żadna na świecie nie może się równać.

Człowiek ubogi widzi to i czuje, jest wdzięczny Chrystusowi za to, że mimo swego bóstwa, przyszedł na świat w tak biednem otoczeniu, jak najbiedniejsze z biednych dzieci.

Joanna Czarkowska (Kraków).

Orędzie Ojca św.

Kraków, 24 grudnia.

W chwili, kiedy narody europejskie stoją w ogniu walki — oczy wiernych zwracają się ku Stolicy Piotrowej, wypatrując stamtąd słów pociechy i poparcia, pocieszenia w ciężkiej doli i błogosławieństwa Głowy Kościoła. Ojciec święty był zawsze tym czynnikiem, który ponad zbrojną likwidację konfliktów przenosił pokojowe porozumienie między narodami i zawsze usilnie dążył do tego, aby wszelkie sporne sprawy załatwiano bez rozlewu krwi.

Bóg jednak chciał inaczej. Podobało się Panu Bogu dopuścić do tego, aby narody stanęły naprzeciw siebie z bronią w ręku i wzajemnie się zwalczały. Wśród szczęku oręża niejednokrotnie jednak dochodził głos Papieża, wzywający do zastanowienia się i do przerwania działań wojennych. Już w maju br. Ojciec święty wezwał wszystkich wiernych do modłów o pokój, a wezwanie Swoje powtórzył w dniu 24 listopada, ogłaszając przez usta kapłanów Swoje orędzie w „Motu Proprio". Orędzie to zostało odczytane wiernym.

Dzisiaj, kiedy nadszedł dzień wigilji Bożego Narodzenia uważamy, że niema bardziej do serc ludzkich przemawiającego wezwania, jak to właśnie Orędzie Papieża i z tego tytułu pozwalamy sobie Orędzie to poniżej zamieścić.

„Motu Proprio" Papieża Piusa XII.

zapowiadające w całym świecie Ofiarę Eucharystyczną i modły publiczne w intencji obecnych potrzeb ludzkości.

Pius XII. Papież.

Wiadomo zapewne wszystkim, że od chwili, kiedy Europa uległa wstrząsowi z powodu nowej, a straszliwej wojny, niczegośmy nie zaniedbywali, co Nam nakazywała świadomość Naszego urzędu, powierzonego Nam przez Boga, lub co nam zalecała miłość Ojcowska do wszystkich narodów, nietylko w tym celu, by na podstawie słuszności i sprawiedliwości przywrócić jak najprędzej zgodę między tylu rozbitemi dziś narodami, ale także, by pociechy i ludzką pomoc w miarę możności zapewnić tym, których groza wojna przyprawiła o szkody i boleści.

Skoro jednak straszliwa walka nie słabnie i bardziej się jeszcze sroży, skoro Głos Nasz o pokój wołający zdaje się być zagłuszonym przez szczęk oręża, duszę Naszą pełną lęku, ale i ufności zwracamy do „Ojca Miłosierdzia i Boga wszelkiej pociechy" (II Kor. I. 3), błagając Go o lepsze dla ludzkości czasy. On bowiem Sam i wolę ludzi ugina i bieg rzeczy Swym Boskim rozkazem kieruje.

Ponieważ doświadczyliśmy, że Nasze modlitwy stają się skuteczniejszemi, jeżeli się z niemi złączą i jeśli je wzmogą modlitwy naszych dzieci, przeto tak, jak przed nadejściem ostatniego miesiąca Maja powołaliśmy przed Ołtarz Boga Rodzicy Dziewicy wszystkich wiernych, zwłaszcza dzieci, by uprosić pomoc Niebios, tak teraz zapowiadamy modły publiczne, które razem z naszemi będą na całym świecie w dniu 24 XI. br. odprawione

Wyrażamy przytem nadzieję, że wszystkie dzieci kościoła z taką Naszym pragnieniom odpowiedzą gotowością i ochotą, iż jakby nieprzeliczony powstanie chór proszących, który wznosząc się aż do niezgłębionych przestworzy niebieskich, wyjedna nam Bożą łaskę i Boże zmiłowanie. I jeszcze ważniejszej spodziewamy się rzeczy, mianowicie, że z żarliwością tych modłów złączą się dzieła pokuty tak, że naprawie ulegną obyczaje wszystkich, dokładniej podporządkowane chrześcijańskiemu Prawu i chrześcijańskiej moralności. Tego się bowiem domagają bezwątpienia i obecne nieszczęścia i przyszłych losów koleje. Tego żąda sprawiedliwość Boska i Boskie, do którego musimy apelować, Miłosierdzie.

Że zaś do przebłagania i uproszenia Majestatu Bożego niema stosowniejszego środka, niż Ofiara Eucharystyczna, w której Sam Zbawiciel rodzaju ludzkiego „ofiaruje się na każdem miejscu i poświęca... ofiara czysta" (Mal. I. 2.), chcemy, by w dniu tym publicznych modłów wszyscy kapłani w tej, którzy Ją złożymy na grobie św. Piotra w Watykańskiej Bazylice, wzięli udział. Dlatego z własnego postanowienia (Motu Proprio) i Naszą Apostolską Władzą zarządzamy, by wszyscy, którzy w dniu 24 XI br. będą odprawiali Msze św. za lud na mocy swego urzędu, odprawiali ją w Naszej intencji. Nadto niech wiedzą kapłani obojga kleru, że sprawią nam ogromną radość, jeśli odprawiając Mszę św. w wymienioną niedzielę, wszyscy swoją intencję połączą wśród błagań z Naszą intencją.

Intencją zaś Naszą jest: by przez tyle Ofiar Eucharystycznych, które w ów dzień będą składane Ojcu Przedwiecznemu w każdej chwili i w każdym świata miejscu, wyprosić wieczny odpoczynek zmarłym na skutek wojennych wypadków, następnie, by niebieskie dary i pociechy spłynęły na tych, którzy opuścili Ojczyznę, lub z niej zostali wypędzeni, którzy się błąkają po obcych ziemiach, którzy zostali do więzień wtrąceni, których wreszcie klęski wojny w jakikolwiek sposób dotknęły smutkiem i boleścią, nakoniec, by nadeszła chwila, kiedy po uporządkowaniu stosunków w duchu sprawiedliwości i uspokojenia umysłów przez chrześcijańską miłość prawdziwy pokój połączył bratnią zgodą rodzinę narodów, cieszących się odnowioną ciszą i zażywających dobrobytu.

Dan w Rzymie u św. Piotra dnia 27 X. w uroczystości Chrystusa Króla, roku 1940, Pontyfikatu Naszego zaś drugiego.

PIUS XII PAPIEŻ.

Kraków kolebką kolęd staropolskich.

Kraków, 24 grudnia.

W przekazanym przez minione wieki literackim i muzycznym dorobku polskim zajmują kolędy jedno z najpoczestniejszych miejsc. Zawdzięczają to nietylko liczebności swej, lecz i rozpowszechnieniu po wszystkich zakątkach kraju, jak niemniej ogromnej skali tematów i nastrojów, rozpiętych między religijną wzniosłością a świecką rubasznością, do czego dołącza się bogactwo motywów muzycznych, będących odbiciem upodobań różnych epok i warstw społecznych.

Na szlachetne piękno i wysoką wartość polskich kolęd pierwszy bodaj zwrócił uwagę Mickiewicz w wykładach w College de France i odczuł lepiej, niż późniejsi badacze, skarby piękna, ukryte w prostych i nieraz naiwnych strofach kolędowych pieśni, głęboko przemawiających do uczucia. Odtąd poprzez dwóch autorów krakowskich: Lucjana Siemieńskiego i Stanisława Tarnowskiego aż do czasów najnowszych, wielu badaczy poświęciło swa prace studjum nad kolędami. Nigdy jednak nie podkreślono dość silnie roli, jaką w przeszłości odegrał Kraków w zakresie tworzenia i rozpowszechniania tekstów kolędowych, zarówno wokalnych, jak i muzycznych, gdzie na dworze królewskim i

w celach krakowskich klasztorów rodziły się najpiękniejsze kolędy,

a wieś podkrakowska przetwarzała je po swojemu, udostępniała dla pojęć ludu, odbiegając niekiedy od pierwowzoru w swoistem i oryginalnem ujęciu tematów.

Na krakowską kolędę dworską, kościelną i klasztorną działał przedewszystkiem wpływ włoski. — I nic dziwnego. Włochy pierwsze stworzyły kolędę, a kult jasełek i pieśni, związanych z Bożem Narodzeniem, sięga tam początku XIII wieku, t. j. czasów św. Franciszka z Asyżu, żarliwego krzewiciela kulutu świętego żłóbka, który zniósł dystans, dzielący rzeszę prostaczków od Dzieciątka.

Na obszarze Polski, a w szczególności w Krakowskiem, kolędy przyjęły się bardzo rychło i rozpowszechniły się bujniej, niż gdzieindziej, a to dzięki temu, że zajęły miejsce niezwykle licznych niegdyś kultowych pieśni z doby pogańskiej, oraz dzięki szczególnej żarliwości uczuć religijnych ludu krakowskiego, do czego walnie przyczyniła się działalność kaznodziejów franciszkanskich. Twórcami tekstów literackich kolędy krakowskiej byli przeważnie zakonnicy z czterech osiadłych w Krakowie klasztorów według reguły św. Franciszka: Franciszkanie, Kapucyni, Bernardyni i Reformaci. Pisali słowa do muzyki kolędowej dla ludu podkrakowskiego z wsi wyrośli poduczeni nieco klechowie, kantorowie i organiści, słowem ci, o których mówi kolęda, ze „za młodu z tablicą chodzili do fary“.

Stąd też i lud krakowski zdobył wcześnie bezpośredni wpływ na tworzenie tej gałęzi pieśni kościelnych, nadawał im charakter sobie bliski i zrozumiały elementy modlitewne przeplatał coraz częściej elementami epickiemi, świeckiemi, opartemi na życiu codziennem wsi, a nawet humorem i niefrasobliwem junactwem, co spowodowało w roku 1602 synod gnieźnieński do wydania zakazu śpiewania po kościołach kilku zbyt świeckich kolęd, pochodzących właśnie z okolic Krakowa.

W następstwie tego zrodził się jednak niepospolity urok kolęd ziemi krakowskiej, nacechowanych naiwną poufałością w odniesieniu do nowonarodzonej Dzieciny, Matki Bożej i św. Józefa. I dlatego pasterze z kolęd, to

nasi parobcy wiejscy, ubrani w świtki i burnusy,

grający na dudkach, multankach i bandurkach, niosący Dzieciątku w darze „kukiełeczkę i masła osełeczkę“, stąd też stajenka betlejemska, to zwykła krakowska szopa z dachem, krytym słomą, rzucona na śnieżyste tło surowej polskiej zimy. Słowem — ożył w tych kolędach cały wiejski świat ze swojemi zwyczajami, uczuciami i sposobem mówienia, a w tem może tkwi ich najgłębszy urok.

Jednakowoż wiejscy plebani, bakałarze i organiści częściowo tylko byli twórcami wiejskiej kolędy.

Bardzo często spełniali rolę pośredników w rozpowszechnieniu jej pośród ludu i przetworzeniu na swojską modłę słów i melodyj, płynących z kulturalnego środowiska miejskiego. I tu właśnie, jako główne źródło kolęd, musi być wzięty pod uwagę nadewszystko Kraków, przez długie wieki

stolica religijnego życia Polski,

nazwana przez swoich i obcych „polskim Rzymem“. Pod gotyckiemi sklepieniami krakowskich kościołów brzmiały po raz pierwszy polskie pieśni o Bożem Narodzeniu i wędrowały następnie do domów mieszczańskich i na dwór królewski, a stąd szły do pałaców magnackich, dworków ziemiańskich, a nawet na wieś między lud prosty.

Dotychczas zachowały się w Krakowie w średniowiecznych księgozbiorach klasztorów cenne ogromne zbiory kolędowe. Nieopracowany taki zbiór ani przez badaczy literackich, ani przez muzykologów czeka do dziś na badacza w klasztorze Klarysek przy ulicy Grodzkiej, gdzie — warto wspomnieć — znajduje się również wybitne dzieło sztuki starowłoskiej, wykonana w terakocie z mnóstwem prześlicznych figurek szopka Betlejemska, wystawiana w okresie świątecznym w należącym do tegoż klasztoru kościele św. Andrzeja.

Pierwszy ślad w literaturze polskiej o kolędach pochodzi również z Krakowa i sięga XV. wieku.

Jest to „wielkierz miejski“, czyli pismo radzieckie, wzywające studentów Akademji Jagiellońskiej, tak zwanych „żaków“, aby chodząc po domach mieszczańskich, nie śpiewali pieśni światowych, ale pobożne o nowonarodzonem Dzieciątku i stajence.

Z Krakowa bierze początek kolęda dialogowa, która wywiodła z siebie przedstawienia jasełkowe, będące prototypem rodzimej sceny polskiej, na co słuszną uwagę zwrócił Wyspiański, dając strukturze swego „Wesela“ budowę wybitnie szopkową. Około najstarszych przedstawień jasełkowych zasłużyli się przedewszystkiem krakowscy Franciszkanie. Przedstawienia te urządzane były w krużgankach franciszkańskiego klasztoru, a potem i na rynku krakowskim na **specjalnie zbudowanej scence u wylotu ulicy Brackiej.**

W Krakowie powstały pierwsze drukowane zbiory kolęd staropolskich, zwane „kantyczkami“.

W zbiorze takim pióra Jana Żabczyca (wydanym w r. 1642) pod tytułem: „Symfonje anielskie czyli Kolęda“, znajdujemy już pieśni, tak żywe dotychczas w całej Polsce, jak: „Przybieżeli do Betlejem pasterze“, „Wśród nocnej ciszy“, „Wstawszy pasterz bardzo rano“.

Często poza tem melodje miejscowych krakowiaków i mazurów, bądź tańców modnych polskich lub zagranicznych (polonezy, cenary, drabanty), tańczonych na zamku krakowskim w XVI i XVII wieku, opatrywano pobożnemi tekstami wierszowanemi i w tej formie doszły do naszych czasów, jako popularne kolędy. Niekiedy znów w ludową kolędę przemieniały się komponowane przez kapelmistrzów dla orkiestry zamkowej polonezy koronacyjne. Melodia do słów: „W żłobie leży, któż pobieży kolędować Małemu“, jest właśnie polonezem koronacyjnym króla Władysława IV

Każda epoka odzwierciedliła w kolędach światopogląd upodobania i stan cywilizacyjny“.

W wielu z nich ujawnia się duch religijny baroku, to rubaszność i zamiłowanie do szklenicy w epoce sarmatyzmu. Później przychodzi do głosu rokokowy sentymentalizm, to znów napięcie uczucia i serdeczny ton romantyczny. A wszystkie razem są drogim skarbem przeszłości, godnym zachowania i pamięci.

Jan Pietrzycki.

Jemioła — choinka Zachodu.

Rys obyczajowy.

Gdy w dzień wigilijny z błyskami gwiazd i słowami kolędy zapłonie choinka, — dziecięce serduszka przepełnia radość i szczęście a w nas, starszych, budzą się jakieś dawne — dawne wspomnienia i tęsknoty.

Boć i my ongiś trwaliśmy w niemym zachwycie, z rumieńcami na roześmianej twarzy, na widok drzewka obwieszonego łakociami, w powodzi świateł i lśnień, — i my w dzieciństwo nasze patrzyliśmy na Święta Bożego Narodzenia poprzez szklanne cuda choinkowych błyskotek...

Tak wyrośliśmy i tak rosną dzisiejsze dzieci także. I dla nas i dla nich strojna choinka — to wiecznie żywy symbol Świąt, tych najpiękniejszych i najradośniejszych w roku.

Bez choinki niełatwo nam wyobrazić sobie przecież Świąt Narodzenia Pańskiego.

A jednak — nie wszędzie tym symbolem radosnego Nadejścia i nowej ery świata bywa choinka.

Czem ona dla nas —

piękna rola przypadła jemiole.

Przypatrzmy się bliżej tedy, skąd wziął się tam kult jej, wyobrażeniem czego, była legendarna zrazu cześć jemioły.

Wśród ludów północy uważana bywa jemioła **za prawzór wiecznie odradzającego się życia.**

Bogom poświęcona, niosła w dom jej kultu pomyślność i błogosławieństwo Panów Jasności i Dobra.

Zamierzchła legenda prawi o porze jej owocowania z końcem Starego a początkiem Nowego Roku, w okresie nadziei, marzeń, spodziewań, po mijającym roku zawodów i zmagań.

W pięknym micie

piękna rola przypadła jemiole.

Oto Fryda, bogini, powiła syna. Wyróżniał się on wśród bogów pięknością a potem, w miarę dochodzenia do lat młodzieńczych, rycerskością i odwagą. Zaślepiona dumą matczynej miłości zażądała Fryda od wszystkich tworów przyrody wielkiej przysięgi na to, że nigdy nie wyrządzą jej umiłowanemu synowi Baldurowi żadnej krzywdy.

Przypadkowo pominęła jednak bogini jemiołę. Ta więc, jako niezwiązana przysięgą, **stać się miała nieszczęściem dla Baldura.**

Oto bowiem jemioła w postaci strzały wypuszczonej z ręki ślepego Hödura, kierowanej zaś dłonią zawistnego Loki, rani śmiertelnie Baldura.

Rozpacz matki, bogini Frydy, nie ma granic. Śmierć najmilszego z bogów pociąga za sobą ogólny smutek przyrody. Klęski i nieszczęścia spadają na świat.

Atoli dotknięcie zimnych zwłok herosa gałązką jemioły, **budzi go z martwoty do nowego życia.**

Sił pełen świeżych, Baldur stwarza inną, szczęśliwą erę świata.

Wyobraża on tedy w micie

odradzanie się natury

w wiośnie przyjść mającej po zimnym śnie śmierci, zimie, personifikację zła, której jest tutaj bezlitosny Loki, mający na swych usługach ślepe fatum, niewidomego Hödura.

Szczególną moc przypisywano jemiole tedy od najdawniejszych czasów.

Nawet w bohaterskim eposie swoim powiada Virgilius, że Eneasz wrota podziemi otwiera złotą rutą, a więc jemiołą.

Ale nietylko w epopei rzymskiego poety spotykamy ślady kultu jemioły.

U narodów takich jak Gallowie i Celtowie

Jemioła zażywała czci rośliny świętej.

Pielęgnowana nader troskliwie przy świątyniach, bywała w dniu szóstym po N. Roku ścinana uroczyście przez kapła-

BOLESŁAW RYBAK.

Powódź

27)

Putyra spojrzał na nią nieprzytomnemi oczyma, ale właściwie jej nie widział. Przyszło mu na myśl, że teraz walą się w gruzy jego marzenia i że nigdy w życiu nie będzie szczęśliwy. Kobieta, którą ukochał nad życie, kpiła sobie z jego miłości, a jej całe zachowanie wskazywało na to, że nie była warta jego uczucia.

Marjetta poruszyła się niecierpliwie na łóżku. To wstrząsnęło Putyrą. Widać było, jak walczą w nim dwa uczucia, dwie wole. Chciał paść do stóp Marjetty i zostać z nią bodaj na jedną noc, ale z drugiej strony cała jego dusza nawoływała do odwrotu, do ucieczki. Tu czychała na niego zatrata...

Wreszcie westchnął głęboko i zanim Marjetta mogła się zorjentować, wybiegł z pokoju. Potrącając meble przeszedł przez buduar, gabinet, wpadł do przedpokoju, zatrzasnął drzwi za sobą i po chwili znalazł się w swej izbie. Tam rzucił się na łóżko i wtulił głowę w poduszkę.

XII.

Niepokój Ryszarda wzrastał z dnia na dzień. Wspólnicy jego nie przejmowali się jego oporem i gdy po dwóch dniach namysłu oświadczył im, że nie odstąpi od swej ceny, przedstawiciel ich wyniósł się z pokoju i... nie powrócił więcej. Można było szantażować ich groźbą udania się do Korabiowskiego, ale trudniej było groźbę tę zrealizować. Tak więc zdawałoby się, że wielki trud i ryzyko, poniesione podczas zdobycia sensacyjnego wynalazku — pójdą na marne. Nie mogąc sprzedać wynalazku, ani też zwrócić go Korabiowskiemu, Ryszard był przygotowany na zniszczenie dokumentów.

Odkładał jednak dezycję z dnia na dzień, łudząc się, że przecież znajdzie się jakieś wyjście ze sytuacji. I wtedy, gdy już właściwie stracił nadzieję — zaświecił mu mały promyczek otuchy. Gdy bowiem wrócił jednego wieczora z kina, coś wydało mu się w pokoju podejrzane. Niby wszystko było na swojem miejscu, ale serwetka na stole była obrócona na lewą stronę, książki w szafce bibljotecznej poprzestawiane, a w drugim pokoju zauważył, że drzwi od bieliźniarki i od szafy z ubraniami były otwierane wytrychem. Uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem.

— A więc to tak, moi panowie. Miałem nosa — pomyślał — że nie zostawiłem dokumentów w skrzynce.

Pobieżny rzut oka na skrzynkę, w której kiedyś mieściły się dokumenty, przekonał go, że tajemnicza kontrola jego mieszkania zwróciła uwagę i na ten sprzęt. Zadowolono się jednak zabraniem kopert, w których, jak wiadomo, znajdowały się stare gazety.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek. Ryszard uśmiechnięty podszedł do drzwi wejściowych i wprowadził owego przysadzistego znajomego. Pan ten był widocznie podenerwowany. Dysząc ciężko, usiadł na fotelu i nerwowo gryzł strzęp cygara.

— Spodziewałem się pana — odezwał się beztrosko Ryszard.

— Dlaczego?

— Ponieważ stwierdziłem, że niestety pańscy ludzie zrewidowali moje mieszkanie i nic nie znaleźli, więc liczyłem, że pan jeszcze raz pojawi się u mnie. No i przyszedł pan. Czem mogę panu służyć?

— Przedewszystkiem niech pan sobie zabierze te śmiecie — krzyknął grubas, rzucając na stół paczkę kopert ze staremi gazetami. — Gdzie pan ukrył dokumenty?

— Ukryłem je tak, aby pan i pańscy ludzie nie trafili do nich.

— No, dość tego kręcenia. Ile pan ostatecznie chce za te dokumenty?

— Sto tysięcy i ani grosza mniej.

— Dawałem panu 50?

— No tak i kto wie, czy nie zgodziłbym się na tę sumę, ale teraz jestem zagniewany na was. To nie jest uczciwy system nasyłać wspólnikowi włamywaczy.

— Pan niby jesteś coś lepszego, co?

— Lepszego, czy nie, ale to pana nic nie obchodzi. Obecnie jestem kupcem, który ma towar do sprzedania, a pan ten towar chce kupić. To decyduje. Kupić, a nie ukraść, podkreślam.

— To już nie gadajmy. Daję więc sto tysięcy i proszę mi dać te dokumenty.

Ryszard podejrzliwie spojrzał na gościa. To zapowiadało jakąś zasadzkę. Ręka przysadzistego mężczyzny powędrowała do kieszeni. Ryszardowi przemknęła przez głowę myśl, że może on mieć w kieszeni rewolwer, którym go zaszachuje w odpowiednim momencie i przepadnie cała święta okazja zrobienia majątku. Postanowił grać na zwłokę.

— Nie mam dokumentów u siebie w domu, a powtóre muszę panu powiedzieć, że po tem najściu na moje mieszkanie — nie ufam panu.

— A więc?

— A więc zrobimy to tak, że jutro o godzinie piątej po południu będę w kawiarni Cetralnej i tam przyniosę panu papiery. Pan ze swej strony przyniesie pieniądze i z rączki d oraczki wymienimy nasze towary. Dobrze?

— Niech pana szlak trafi. Nie chcę załatwiać tej sprawy w kawiarni.

— Tak, ale ja tam będę się czuł zupełnie bezpieczny. Tam pan nie będzie mógł mi grozić.

— Tak, ale pan będzie mi mógł wsunąć znowu kopertę starych gazet!

— To już kwestja pańskego zaufania do mnie. Aby pana jednak zadowolić, posunę się tak daleko, że dam panu pierwszą kartkę dokumentu. Pan ją przejrzy i stwierdzi, czy jest autentyczna. Wtedy da mi pan połowę pieniędzy, potem ja panu dam resztę papierów, a pan mi — już z rączki do rączki da resztę pieniędzy. Zgoda?

— Kanciarz z pana, ale co robić. Muszę się zgodzić. Więc jutro o piątej w Centralnej? Tak?

— Tak jest, o piątej w Centralnej.

Ryszard z przesadną gościnnością odprowadził swego gościa do drzwi, pożegnał go, jak należało pożegnać człowieka mogącego się zdobyć na ofiarowanie stu tysięcy złotych, poczem w podskokach radości wrócił do pokoju.

— A to durnie — mruczał pod nosem. — Nie mogli wpaść na to, gdzie te papiery są schowane. No, Rysiuniu — teraz twoja godzina wybiła. Nareszcie staniesz się zamożnym człowiekiem. Będzie można pomyśleć o jakimś intratnym a mniej trącącym kryminałem interesie, można będzie mieć kobietki, jakie się będzie chciało. Na pierwszy ogień musi pójść Marjetta. To cudna kobieta, ta musi go odwiedzić, a gdy już przekroczy próg gabinetu — to już on postara się, aby została na dłużej.

* * *

nów pośród specjalnych modłów szczerozłotemi sierpami i rozdawana ludowi.

Rok cały od tej chwili aż do nowej uroczystości jemioło-brania, przechowywano pieczołowicie ścięte gałązki jemioły. **Wierzono, że daje ona szczęście domowi**, a wciągnięta w służbę medycznej wiedzy kapłanów miała **moc zapobiegania rzekomo w odwarze z listków wszelakim truciznom.**

Czyż można dziwić się wierze tych ludów w cudowne właściwości jemioły?

Chyba nie. Bo ludy te pierwotne, zespolone z przyrodą i jej przejawami, bystro reagujące pojęciami na różnorakie spostrzeżenia, musiały zwrócić uwagę na bądź-cobądź osobliwe zjawisko: oto, gdy cała natura zamierała z panoszeniem się zimy, ta dziwna roślina wabiła oko zielono-złocistemi liśćmi.

Jakaż zagadka dla prymitywnych umysłów! Czemu właśnie w zimie owocuje? Dlaczego i kto posiał ją wysoko, w konarach drzew? Więc pewnie sami bogowie tak niesamowicie posadzili roślinę, by złej nie dotykała ziemi... A więc,

jako boski twór i dar, posiadać musi niecodzienne właściwości i przynosić szczęście!

Zczasem legenda zapadła w przeszłość, mit, pomieszany z religją, przybierał coraz to inne szaty. Ale

kult jemioły wciąż trwał

i do naszych czasów dochował się jako przejaw zwyczajów okresu Świąt Bożego Narodzenia i ich niejako symbol obok naszej choinki.

Najdłużej zachowany **w Irlandji**, dostał się kult jemioły stamtąd do Anglji. Z biegiem lat poniechano czci „boskiej“ rośliny, poszło w niepamięć jej osobliwe urodzenie i zasługi...

Wiarę w nadzwyczajne właściwości rośliny rozwiała się, jak wiele pięknych baśni i legend przeszłych wieków.

Dziś, gdy prawie wszystkie zwyczaje i prastare tradycje omal-że zatraciły swój charakter, nawet w konserwatywnej wciąż jeszcze pod wieloma względami Anglji, gałązka jemioły spełnia rolę **jedynie pośredniczki swawolnej świątecznej zabawy**.

Gałąź tej rośliny zawieszona u sufitu pośrodku hallu, lub nad drzwiami albo kominkiem, daje prawo, coprawda nigdzie niepisane, chyba zwyczajowe jedynie, **ucałowania każdemu mężczyźnie spotkanej samotnie w jej pobliżu kobiety, w dniu Bożego Narodzenia.**

Pocałunek taki, na reagowanie przeciw któremu obroną niema przykładu, ma być symbolicznie zadzierzgniętym węzłem przyjaźni między „nim“ a „nią“ i dlatego to utarła się tam nazwa jemioły jako **„nadziel zakochanych“**.

Zwyczaj faktycznie bardzo oryginalny i miły dla „mających wspólną tajemnicę“ zwłaszcza...

Dla nieznających go, cudzoziemców, kłopotliwy lub nawet wręcz oburzający swoją bezpośredniością wylewu uczucia sympatji...

Jemiołą zdobią też mieszkania swe w Święta Francuzi, widuje się ją w Niemczech — a i do nas przenika tu i tam ten obyczaj, współzawodnicząc z kultem choinki, od pokoleń wzrosłym nam w serca, choinki, co pomostem barw i świateł łączy wspomnienie dzieciństwa z wiekiem dojrzałych ludzi...

St. Kr.

Naczelny redaktor: Leopold Reischer. Redaktor odpow. Bruno Hamann. Redakcja: Kattowitz, Emmastr. 12 tel. 852-82 — Administracja: Ernst [illegible] Sosnowitz, Hauptstrasse 18, tel. 612-24. Oddziały: Bendzin, Kattowitzerstr. 16 Dombrowa, Rathausstr. 2. Zawiercie, Adolf-Hitlerstrasse 3.

Zwyczaje w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Kraków, 24 grudnia.

Mówi stare przysłowie, że każdy kraj ma swój zwyczaj. Bo każdy naród w zwyczajach swoich uwiecznił to, co najbardziej przemawiało mu do serca i duszy, co najbardziej ukochał.

Zwyczaje nasze i obrzędy układały się przez całe wieki, to też są one pamiątką po pradziadach, która przechodziła z pokolenia na pokolenie. Ojcowie nasi bardzo kochali się w zwyczajach i obrzędach dorocznych. Zwłaszcza gdy nadeszły Gody, czyli Boże Narodzenie, święcono najrozmaitsze zwyczaje, uświetniające ten radosny okres w roku. Z żadnemi innemi świętami nie łączy się też tyle i tak pięknych obrzędow, co ze świętami Bożego Narodzenia.

Gody rozpoczyna Wigilja,

jedna z najpiękniejszych naszych uroczystości. **Z dawien dawna, obchodzono ją w Polsce bardzo uroczyście.** Przez cały dzień wstrzymywano się od jedzenia, albo przestawano na najkonieczniejszym posiłku postnym. Dopiero, kiedy pierwsza gwiazda zajaśniała na niebie, zasiadano do **wspólnej wieczerzy wigilijnej**, tak radosnej i serdecznej w każdym domu polskim.

Ukazania się pierwszej gwiazdy na niebie, czekano

na pamiątkę owej gwiazdy Betlejemskiej,

która niegdyś pasterzom i trzem mędrcom ze Wschodu ukazała drogę do żłóbka Jezusowego. Toteż na pamiątkę przyjścia Zbawiciela w ubogiej szopie betlejemskiej, przystrajano izbę, w której spożywano wilję, w snopy zboża rozstawione w czterech kątach izby. Pod obrus kładło się siano na przypomnienie świętego Dzieciątka, złożonego nie w bogatej pościeli, lecz w żłobie bydlęcym na sianie.

Gdy już się cała rodzina zgromadziła wokoło stołu wigilijnego, następowała chwila bardzo uroczysta —

dzielenie się opłatkiem.

Gospodarz i gospodyni domu podchodzili kolejno do każdego z obecnych, nie omijając najmniejszego dziecka, szli do izby czeladnej i kuchni i dzielili się opłatkiem ze wszystkimi domownikami i służbą. Składano sobie przytem życzenia powtarzając: „Dosiego roku“, t. zn. „Daj nam Boże doczekać szczęśliwego przyszłego roku“.

Łamanie się opłatkiem, to **jeden z najpiękniejszych naszych zwyczajów, który pozostał nam po dziś dzień.** W tej chwili uroczystej miłość przenika serca wszystkich obecnych, znikają urazy i wzajemne niechęci, nieraz najzaciętsi wrogowie podają sobie ręce do zgody. Ten znak braterstwa i miłości posyłano też w liście krewnym i znajomym, którzy nie mogli zasiąść do wspólnej wieczerzy wigilijnej, lub dzielono się z nim w duchu i myśli.

Po spożyciu opłatka zaczynała się

wieczerza wigilijna.

Dawnym zwyczajem na wilję zjeżdżała się cała rodzina, choćby najbardziej rozproszona po różnych stronach kraju. Zjeżdżali więc krewni, znajomi i przyjaciele, a w dniu tym powszechnej radości nie zapominano też o biednych sierotach, o starcach nieszczęśliwych i samotnych. Do stołu wigilijnego zasiadali wspólnie wszyscy.

Wieczerza wigiljna składa się zawsze **z potraw postnych.** Według starego zwyczaju potraw tych dawano pięć, siedem, dziewięć i więcej. Ta wielka ilość potraw miała wróżyć gospodarzowi domu obfitość tych wszystkich płodów na stole jego w roku następnym. Do potraw wigilijnych należał barszcz z grzybami, bigos postny, kasza: jaglana i gryczana, groch ze suszonemi śliwkami, kapusta maszczona olejem, polewka, ryby różnych gatunków i kluski.

Do dnia wigilijnego przywiązywali ojcowie nasi

rozmaite wróżby.

Tak mówiono, że kto rano wstanie w wigilję Bożego Narodzenia, ten przez cały rok nie będzie ospały. Która dziewczyna tarła mak na wilję, ta napewno wyjdzie zamąż. Kto zaś dzień wigilijny spędzi na lenistwie i kłótniach, będzie próżnował i kłócił się w roku przyszłym, bo „jakiś we wilję, takiś cały rok“ mówi przysłowie. Przy stole wigilijnym **musiała być parzysta liczba osób**, bo nieparzysta wróżyła nieszczęście, za najgorszą liczbę uważano trzynastkę, której i do dziś dnia unikają.

Po skończonej wilji, gospodarz brał siano, co leżało pod obrusem i dorzuciwszy do niego z każdej potrawy po łyżce, **zanosił bydłu**, aby i ono dostało garstkę paszy ze stołu wigilijnego. Ziarno, wykruszone ze zboża, co zdobiło izbę podczas wilji, rzucano dla drobiu, a ze słomy robiono powrósła i obwiązywano niemi drzewa owocowe w sadzie, aby w roku następnym miały dużo owocu.

W ten uroczysty dzień **karmiono troskliwie dobytek na pamiątkę owych stworzeń, co niegdyś były świadkami przyjścia na świat świętego Dzieciątka.** W niektórych okolicach istniała wiara, że w tę świętą noc

otrzymują zwierzęta dar przemawiania mową ludzką,

aby, jak ów osioł i wół przy żłóbku Pana Jezusa — oddały pokłon Boskiemu Dzieciątku.

Po skończonej wilji gromadziła się rodzina i domownicy i śpiewano wspólnie **starodawne kolędy.** Płynęły ku niebu te przepiękne nasze pieśni, w których Aniołowie dają znać pasterzom, że Bóg się rodzi, pasterze spieszą powitać Pana i cały świat rozbrzmiewa hymnem radości: Chwała Panu na wysokościach, a pokój ludziom dobrej woli“.

Co do pasterki, to

odprawiano ją dawniej przy żłóbku,

przypominającym chwilę narodzenia Chrystusa. Początek takiej pasterce dał **św. Franciszek z Assyżu,** który pierwszy za pozwoleniem Ojca św. w grocie ustawił jasełka: żłóbek z figurami Matki Boskiej, św. Józefa, Dzieciątka i pastuszków. Zarazem też odprawiano Mszę św. o północy. Zwyczaj ten rozszedł się po całym świecie i zawitał także do Polski.

Z pierwotnego żłóbka powstały

widowiska jasełek,

odgrywane początkowo po kościołach, nietylko ustawiano figurki, lecz posuwano je, mówiono i śpiewano za nie. Takie jasełka bywały uroczystem świętem, w którem brał udział cały naród od najbiedniejszych do koronowanych.

Widowiska jasełek z biegiem czasu stały się **zbyt świeckie**, dlatego usunięto je z kościołów. Zato aż do początku 19 stulecia był zwyczaj w wielu kościołach w Polsce, że na ołtarzu stawiano kołyskę pięknie ubraną z Panem Jezusem. Z kołyski tej spadała długa wstęga, którą obecni w kościele chwytali i pociągając nią, kołyskę poruszali.

Widowiska jaseł, usunięte z kościołów,

zmieniły się na szopkę,

z którą chłopcy chodzą po dziś dzień po domach od święta Bożego Narodzenia aż po Trzech Króli.

W czasie Godów przypada Nowy Rok,

obchodzony w Polsce uroczyście i uświęcony szeregiem zwyczajów. Składano sobie nawzajem życzenia, a dzieci i uczniowie szkolni od domu do domu winszowali „Nowego Roku“ wesołym śpiewem i figlami, zaco otrzymywali różne podarki, zwane **kolędami**. Również dzieci wiejskie obchodziły domy i chaty, winszując „Nowego Roku“ i przymilając się o dobre kęski „na kolędę“.

W wigilję Nowego Roku

wróżono dziewczętom zamążpójście,

lejąc, jak obecnie w wigilję św. Andrzeja, na wodę roztopiony ołów lub wosk. **Mawiano, że dzień Nowego Roku powinien zawsze zastać bochenek chleba na stole,** jako wróżbę obfitości tego daru Bożego na cały rok. Gospodarze obsypywali się owsem na znak pożądanej obfitości tego ziarna. Wróżono też z pogody, że „Nowy Rok pogodny — zbiór będzie dorobny“.

Po Nowym Roku nadchodzi

święto Trzech Króli.

W wigilję tego święta składano podarki na pamiątkę darów, złożonych przez Mędrców Chrystusowi. W święto Trzech Króli starodawnym zwyczajem kreśli się na drzwiach kredą święconą trzy krzyże i początkowe litery imion trzech królów Mędrców ze Wschodu: Kaspra, Baltazara i Melchiora, obok pisze się datę roku nowego. Znak owych Trzech Króli kładzie się w tej myśli, aby Bóg nad domem tym roztoczył swą opiekę i chronił od złego.

— — — — — — — — —

Śliczne nasze obrzędy i zwyczaje starodawne w czasie Godów. Nie wspomniałem o wszystkich. A chociaż z biegiem czasu, dużo z nich poszło w zapomnienie, pozostał nam jeden zwyczaj piękny, choć może trochę zmieniony. Pomijam choinkę, bo to zwyczaj obcy i niedawno u nas przyjęty, lecz **„święty“ opłatek, wilja i kolędy, to jedne z najpiękniejszych naszych zwyczajów rodzinnych i narodowych, rok rocznie w sercach polskich budzących uczucia radosne i święte.**

Stanisław Jucha.

Żółw i człowiek

Legdeda polinezyjska

Płynęliśmy już dosyć długo i słońce zaczęło przypiekać, a monotonny i piskliwy śpiew starego Buli nieznośnie drażnił uszy. Prosiłem go kilkakrotnie, żeby zaprzestał swej dyszkantem zawodzonej „pule“, ale brązowy sternik twierdził, że wiatr lubi śpiew i tylko dzięki tej pieśni płyniemy tak prędko i nie przewracamy się. Musiałem mu przyznać rację, bo rzeczywiście chyba tylko czary utrzymywały w równowadze naszą wązutką kanoe, wypaloną z jednego pnia palmy. Każdy silniejszy podmuch pasatu, wpadając w olbrzymi żagiel z maty — „tape“, podnosił drąg przeciwwagi, co groziło natychmiastowem wywróceniem. Kanoe mknęła z ogromną szybkością, zostawiając na falach biały pienisty ślad.

Czterech kanaków-tubylców siedziało w kucki na dnie łodzi, utrzymując równowagę kanoe ruchami ciała. Osłaniali rękami oczy i bystro wpatrywali się w powierzchnię wody.

— Jakoś nie widać tych zapowiadanych żółwi — zwróciłem się do Bulego.

— Żółw on stać blisko — odpowiedział — nie widzieć go, bo on prać zabardzo ciężką wodę.

Mówił mieszaniną języka tubylczego i łamanej angielszczyzny, czyli tak zwanem narzeczem „Beche de mer“. Żeby to zrozumieć, trzeba uprawiać nielada ekwilibrystykę umysłową. Wyłowiłem jednak z jego słów, że żółwie są niedaleko, tylko płyną głęboko i dlatego ich nie widać.

Nagle jeden z kanaków krzyknął gardłowo i wskazał mały czarny przedmiot, który wynurzył się kilkanaście yardów od łodzi. Była to głowa płynącego żółwia.

W tej chwili stary Buli gwałtownie szarpnął łopatą, służącą za ster, aż łódka zawróciła na miejscu, a woda przelała się przez niskie burty.

Cztery brązowe ciała śmignęły pięknemi łukami i zniknęły pod wodą.

Łódź pozostawiona swemu losowi zakołysała się niebezpiecznie, nie wiem jakim cudem sama wyrównała i stanęła z żaglem w łopot.

Tymczasem w miejscu, gdzie ukazał się żółtw, woda zakotłowała się i zapieniła, widocznie pod powierzchnią schwytane zwierzę walczyło z ludźmi-napastnikami, którzy chcieli je ubezwładnić, obracając na wznak.

Wreszcie z pod wody ukazał się pierwszy Buli, krzycząc:

— Haole, biały człowieku, rzuć tu sznury, musimy żółwia wyciągnąć na łódź i przywiązać.

Stary sternik mimo swych 70 lat poruszał się w wodzie zgrabnie i szybko i niezadługo olbrzymi żółw, wagi conajmniej 200 funtów, został przytroczony do kanoe.

* * *

Ognisko płonęło jasno, oświatlając twarze ucztujących. Stary Buli żuł pieczoną łapę żółwia, z rozkoszą mlaskając i sapiąc. Nareszcie obtarł usta wierzchem dłoni i poklepał się z zadowoleniem po brzuchu.

— Bardzo dobrze się stało — rzekł z przekonaniem — że stary żółw Aorai zawiódł swego przyjaciela i że odtąd ludzie zabijają i jedzą żółwie.

Wiedziałem, że Buli chce opowiedzieć jakąś legendę polinezyjską, więc zgodnie z codziennym ceremonjałem zacząłem go do tego namawiać, popierając swoją prośbę kubkiem whisky z mlekiem.

Wypił powoli z namaszczeniem i zaczął opowiadać:

— Było to bardzo dawno temu, kiedy jeszcze żaden biały-haole nie widział naszych wysp, ani żaden kanaka nie nosił krochmalonych białych spodni. Wtedy żółwie żyły w przyjaźni z ludźmi, rozumieli się nawzajem, odwiedzali i radzili.

Szczególnie zaprzyjaźnili się Mongondro, król wyspy Otohu ze starym żółwiem Aorai. Nie rozstawali się ze sobą i całe dnie spędzali na rozmowie nad brzegami morza.

A w tym czasie mieszkańcy sąsiedniej wyspy Tikri wyprawiali się na wojennych, długich kanoe i napadali na spokojnych rybaków i myśliwców z wyspy Otoha.

Kiedy tak pewnego dnia król Mongondro i żółw Aorai rozmawiając, przechadzali się po wybrzeżu, ujrzeli zdaleka łodzie rozbójników z Tikri. Wioślarze byli pomalowani na wojenne kolory, a ztyłu i zprzodu łodzi zatknięte były długie dzidy. Mongondro poznał po tem, że przybysze chcą napaść na jego wyspę i zrabować szczupłe mienie jego poddanych.

Spytał więc swego przyjaciela, żółwia Aorai, w jaki sposób można uratować bezbronny naród rybaków przed napastnikami z Tikri?

— Spróbuj wyjść im naprzeciw i wytłumaczyć, że twoi poddani są biednymi rybakami i że nie opłaci się wielkim wojownikom z Tikri napadać na tak nędzną wyspę, jak Otohu — radził mądrze żółw.

Ale ledwie łodzie z Tikri przybiły do brzegu, nim król Mongondro zdołał wypowiedzieć powitalne słowa, posypały się na niego długie dzidy. Zapóźno już było się bronić czy uciekać, więc Mongondro chwycił żółwia Aorai wpół i chciał się nim zasłonić przed pociskami jak tarczą, wiedząc, że żadna dzida nie przebije grubej skorupy żółwia.

Ale Aaorai zaczął się nagle rzucać i wyrywać, odsłaniając króla, a w tej chwili dzida przebiła pierś Mongondro.

Rozbójnicy zabili też i żółwia, który tak niecnie zawiódł przyjaciela, a podbiwszy mieszkańców wyspy Otohu, powiedzieli im, żeby się więcej nie przyjaźnili z żółwiami, bo żółwie to zdrajcy.

Rybacy z Otohu posłuchali najeźdźców i zemścili się za śmierć króla na żółwiach, wyciągając je z wody, odwracając nawznak i zabijając. Żółwie przerażone i zdziwione napadem przyjaciół, leżały bez ruchu nawznak, zapominając odwrócić się dla ochrony skorupami do góry. I już od tej chwili nie mogą sobie przypomnieć, jak się to robi i dzięki temu można je teraz tak łatwo łapać i ubezwładnić, odwracając brzuchem do góry.

A tymczasem dusze króla Mongondro i żółwia Aorai zawędrowały przed Wielkiego Boga, a on kazał im opowiadać o swojem życiu.

Mongondro mówił długo, a wkońcu poskarżył się na żółwia, który, choć przyjaciel, nie pozwolił użyć swojej skorupy za tarczę.

To się Wielkiemu Bogu bardzo nie podobało:

— Jesteś podłym zdrajcą i tchórzem — krzyczał na żółwia Aorai, — dlaczego nie pozwoliłeś przyjacielowi zasłonić się twoją skorupą?

— Wielki Boże — odparł pokornie żółw, — chętniebym poniósł śmierć za przyjaciela i nie byłbym mu się nigdy wyrywał, ale Mongondro uchwycił mnie wpół, a ja tam mam okropne łaskotki.

A. Butti.